



DODATEK SPECJALNY – część 13

Czy obronimy naszą tożsamość?

- Polska tożsamość a „tęczowa kultura”
- Złoty środek nie istnieje
- Rodzina LGBT?



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl



TOMASZ D. KOLANEK

WSTĘP

Czego (nie) nauczyła nas historia?

Po 4 czerwca 1989 r. polska polityka i kultura zostały zdominowane przez hasło i wizję „powrotu do Europy”. Chodzi o przeświadczenie, że musimy za wszelką cenę i jak najszybciej doszłusować do Zachodu poprzez zakotwiczenie się w strukturach euroatlantyckich, m.in. w NATO i Unii Europejskiej, i implementowanie na naszym rodzimym gruncie tego wszystkiego, co nam nakażą.

Krótko mówiąc: nakazano, aby bez słowa sprzeciwu wprowadzać w Polsce wszystkie wzorce polityczne, gospodarcze, społeczne, kulturowe, obyczajowe, mentalnościowe, ideowe etc., które obowiązują na Zachodzie. Chodzi o to, co prof. Ryszard Legutko nazwał „modernizacją przez kserokopiarkę”, dzięki czemu, nawet jeśli w Polsce nie będzie dobrze, to przynajmniej będziemy „fajni”, „europejscy”, „nowocześni”, za co nasi dygnitarze od czasu do czasu zasłużą na niemal szczere poklepanie po ramieniu przez zachodnich partnerów.

Początkowo głównym motorem napędowym była chęć robienia biznesu. W latach 90. w Polsce ogromną karierę zrobił slogan „Kapitał nie ma narodowości”. Potem okazało się, że jednak ma. Obecnie narodowość kapitału wydaje się kwestią drugorzędą i pytanie brzmi: Którą ideologię sponsoruje dany kapitał? Jakoś tak się składa, że najczęściej jest to ideologia LGBT, która jest jedną z dominujących na Zachodzie, a skoro tak, to zgodnie z zasadą „modernizacji przez kserokopiarkę” powinna ona również zdominować Polskę.

Nieważne, że wbrew popularnej propagandzie ruchom LGBT nie chodzi o żadną tolerancję. Nieważne, że celem tej ideologii jest

brutalne podbicie świadomości społecznej, doprowadzenie do powszechnej akceptacji lansowanych przez nią praktyk i obyczajów oraz do sytuacji, w której nikt nie ma prawa oceniać. Nieważne, że według tej ideologii „moralne” jest wszystko, co daje (jak na razie) dorosłym jednostkom przyjemność, a każdego, kto próbuje się odwoływać do innych, zewnętrznych miar, nazywa się dogmatykiem, fanatykiem, faszystą, homofobem i nienawistnikiem. Wszystko jest nieważne, ponieważ ideologia LGBT jest na Zachodzie „trendy”, a skoro „wszystko, co zachodnie, jest lepsze”, to musi ona dominować również w Polsce.

Jak jednak zainstalować ideologię LGBT w Polsce? Bez wątplenia potrzebne są do tego spore pieniądze, o czym pisaliśmy już w poprzednich numerach tego dodatku. Pieniądze to jednak nie wszystko. Niezwykle ważną rolę odgrywają w tym tzw. elity oraz szeroko pojmowana kultura.

Nie jest tajemnicą, że w Polsce mamy problem z elitami. Wiele osób uważanych za przedstawicieli tej grupy zostało albo sztucznie wykreowanych, albo wystruganych z banana i z klasycznie pojmowanymi elitami nie mają oni niczego wspólnego. Główną cechą znacznej części przedstawicieli tych tzw. elit jest poczucie wyższości nad resztą społeczeństwa. Ludzie ci uważają, że oni są lepsi pod każdym względem – a zwłaszcza moralnie – od reszty polskiego „ciemnogrodu”, bo lepiej rozumieją zachodnią nowoczesność, w tym wypadku ideologię LGBT.

Według tych ludzi wszystkie chwytły są dozwolone. Wystarczy tylko przypomnieć, co członkinie Rady Języka Polskiego mówiły,

kiedy przez polskie miasta przechodziły demonstracje pod hasłem „Wypier...”: Zdaniem tych pań z tytułami profesorskimi używanie wulgarnych słów było całkowicie uprawnione, uzasadnione, a nawet godne pochwały. A wszystko w myśl zasady: jeżeli słowa pełne przemocy, kierowane pod adresem adwersarzy politycznych, światopoglądowych, ideowych etc., są zgodne z ideologią postępową – LGBT, feministyczną, klimatyczną etc. – to trzeba ich używać i się tym szczycić. To toruje drogę do sytuacji, w której za przemocą słowną może iść przemoc fizyczna.

Najgorsze jest to, że z takimi sytuacjami mieliśmy do czynienia w przeszłości i nie wyciągnęliśmy z tego żadnych wniosków. Ideologia LGBT jest tylko jednym z instrumentów wyrażania tej samej odwiecznej pogardy datującej się przynajmniej od czasów oświecenia w Polsce, kiedy elita oświecenia utożsamiała się z Zachodem chciała z jednej strony wprowadzać wiele słusznych rozwiązań przyjętych na Zachodzie, ale z drugiej chciała również budować swoje poczucie wartości na pogardzie wobec starego społeczeństwa polskiego. To przeciwstawienie – oświecony przeciwko Sarmacie – jest prawozorem tych wszystkich przeciwstawień, które dzisiaj występują, które odwołują się do nowych ideologii. Teraz jest to LGBT, a jutro będzie to coś innego. Ideologia opiera się jednak na jednym: na nienawiści wobec tych, którzy są inni ode mnie, od których chcę się odróżnić, i taka jest również natura ideologii LGBT.

Jeśli zaś chodzi o kulturę, to tutaj oddam już głos naszym świętym autorom, którzy wzięli udział w tworzeniu tego dodatku.

Życząc owocnej lektury. ©©



Z Marcinem Romanowskim,
wiceministrem sprawiedliwości
rozmawia Tomasz Rowiński

Sztuka nie potrzebuje politycznego zabarwienia

TOMASZ ROWIŃSKI: Czy polskie państwo dysponuje rozwiązaniami prawnymi, które nie pozwolą na finansowanie z pieniędzy publicznych teatrów i innych instytucji kultury promujących agendę polityczną ruchu LGBT? Unia Europejska nieustannie wplata w swoje mechanizmy prawne poparcie dla tej ideologii.

MARCIN ROMANOWSKI: Jeśli sztuka jest dobra, to broni się sama i nie potrzebuje do tego politycznego zabarwienia. Niestety, część środowisk artystycznych o tym zapomina i na siłę ideologizuje swoje działania. Co gorsza, robi to za publiczne pieniądze. Widać w tym przyzwyczajenie jeszcze z czasów późnego PRL. Sytuacja ta nie zmieniła się w III RP, szczególnie za rządów Platformy Obywatelskiej czy lewicy. Celebryci w zamian za milionowe dotacje i subwencje na swoje teatry, galerie czy projekty artystyczne (bardzo często pseudoartystyczne) ochoczo fotografowali się z Bronisławem Komorowskim, stojąc murem za jego prezydenturą. Dziś instytucje kulturalne, nawet te publiczne, są zdominowane przez ludzi o radykalnych ojkofobicznych poglądach, silnie zideologizowanych i upolitycznionych. Zastąpienie tej niyb-elyty o postkomunistycznym rodowodzie to wyzwanie; proces, który potrwa jeszcze wiele lat. Zresztą problem leży głębiej. Aktywiści mają silne wsparcie ze strony Brukseli broniącej każdego przejawu demoliberalizmu w państwach członkowskich, szczególnie w Polsce. Unia Europejska od dłuższego czasu rości sobie prawo do coraz to nowszych kompetencji, które zaczęły obejmować sprawy obyczajowe. Ideologię Nowej Lewicy nazywa się dzisiaj „europejskim stylem życia”, którego Komisja Europejska zamierza „bronić”. Powiązanie z rzekomym prymatem prawa unijnego często wiąże nam ręce. Piewcy postępu dobrze o tym wiedzą, stosując taktykę totalnej opozycji: ulica oraz zagranica.

Czy są jednak do pomysłenia narzędzia, które polskie państwo mogłoby zastosować, by tę sytuację zmieniać? Czy to tylko kwestia wymiany elit czy wymiany kadr?

W sferze kultury wszystko jest kwestią czasu. Czas hojnego finansowania liberalnych elit artystycznych się skończył. Dotacje można kontrolować, weryfikować, oceniać wykonawcę i efekty jego pracy. Większość artystów nie kryje się jednak z wrogością wobec tradycyjnych wartości i jej zwolenników. Zarazem nie da się wyrzucić lewicy

„jednym przyciskiem guzika”. Żyjemy w demokratycznym państwie, w którym w przeciwieństwie do lewicowej cancel culture wykluczanie innych poglądów nie jest możliwe. Często nie ma dla nich alternatywy. Bez wymiany pokoleniowej, wykształcenia autentycznie konserwatywnych ludzi sztuki i jej znawców takie działania nie będą mieć sensu. Społeczna prawica dużo mówi na ten temat, lecz niestety niewiele robi. Nasz rząd robi w tym kierunku to, co

Niestety, Bruksela nie zatrzyma się w swoim ideologicznym szaleństwie nawet w czasie wojny

możliwe – naprawiamy program nauczania w szkołach, dofinansujemy szkolnictwo wyższe, także pod kątem sztuk pięknych. Efekty poznamy po latach – obecnie widzimy dziedzictwo lat dwutysięcznych, czasów zakompleksionej III RP budzącej we własnych obywatelach wstyd za własną kulturę. „Polskość to nienormalność” – skądś to przecież znamy.

Czy Polska ma możliwość, by przeciwstawić się praktykom Brukseli, która coraz mocniej wiąże programy redystrybucji środków ze swoim pakietem ideologii gender?

Unia Europejska konsekwentnie realizuje ideologiczną agendę, atakując w europejskiej przestrzeni publicznej każdy przejaw innego niż lewicowy światopoglądu. Walka z nieistniejącymi „strefami wolnymi od LGBT”, naciski na uznanie rodzicielstwa osób tej samej płci czy forsowanie aborcji na życzenie zdecydowanie nasiliły się w ostatnich trzech latach. Ale nie pozostajemy bierni. Solidarna Polska od dawna dąży do wypowiedzenia szkodliwej konwencji stambulskiej, która zamiast chronić kobiety i dzieci, manipuluje pojęciami, wprowadzając do polskiego porządku prawnego ideologię gender. Konwencja okazała się zresztą bezużyteczna, nie dając żadnych konkretnych rozwiązań prawnym organom ścigania ani wymiarowi sprawiedliwości. Dlatego w listopadzie 2020 r. wprowadziliśmy tzw. ustawę antyprzemocową. Pokaza-

liśmy, że można skutecznie zwalczać przemoc domową bez ideologii. Kilka miesięcy temu przyznała to w toku obrad Parlamentu Europejskiego nawet Sylwia Spurek.

Niestety, Bruksela nie zatrzyma się w swoim ideologicznym szaleństwie nawet w czasie wojny. Uchwalony niedawno mechanizm warunkowości, wciąż nieuruchomiony, grozi odebraniem Polsce wszystkich należnych jej środków ze wspólnego budżetu. Europosłowie nie pozostawiają złudzeń: nie chodzi już o praworządność, a światopogląd. To ma być swego rodzaju kara dla polskiego społeczeństwa za to, że śmiało wybrać konserwatywny rząd. Lutowa rezolucja wzywa do uruchomienia mechanizmu, ponieważ Polska „prześladuje homoseksualistów” oraz organizuje „piekło kobiet”. Dobrze widzimy, że UE zmienia się w lewicową utopię, która nie cofnie się nawet w obliczu wspólnego zagrożenia ze Wschodu.

To jest poważna kwestia, dziś wydaje się nie do pomyślenia – choćby z powodu imperialnej polityki rosyjskiej – rozważany w ostatnich latach polexit. Czy jesteśmy skazani na wegetację w ramach UE pod nieustannym zagrożeniem sankcji z jej strony i zmagani z instytucjami brukselskimi o każde euro i o każde suwerenne prawo?

Trwająca wojna na Ukrainie dość wyraźnie zarysowała linię podziału zadań pomiędzy Unią Europejską a NATO. Pod niemieckim przywództwem Unia jest niezdolna do realnych działań wymierzonych w Kreml ani zapewnienia wsparcia swoim sojusznikom. Najlepszym dowodem jest coraz bardziej realna wizja akcesji Finlandii do paktu północnoatlantyckiego, która widzi, że Bruksela nie gwarantuje pełnego bezpieczeństwa. Niemniej, członkostwo w UE daje swego rodzaju bufor bezpieczeństwa, a potencjalnych agresorów może odstraszać poczucie, że nie atakuje osamotnionego celu tak jak w przypadku Ukrainy. Aktualnie znajdujemy się pod zmasowanym ostrzałem ideologicznym ze strony brukselskich instytucji i nie pozostaje nam nic innego, jak twardo stać przy swoim i bronić polskiej suwerenności. Nie ma w tej chwili realnej alternatywy dla UE, dlatego tak istotna jest zrewidowana przez rząd Zjednoczonej Prawicy polityka wschodnia. Stoimy przed historyczną szansą, by stać się adwokatem w sprawie ukraińskiej, a nasza odpowiedź na rosyjską inwazję



postawiła nas w roli lidera regionu. To idealne fundamenty pod rozwijanie idei Trójmorza. Jest również szansa na zmianę kursu lub przynajmniej jego złagodzenie w przypadku przyłączenia do Unii Ukrainy czy Turcji, ale to tylko pobożne i długofalowe życzenia. Na teraz pozostaje nam konsekwentne stawianie tamy ideologicznej ekspansji eurokratów. Nie jesteśmy traktowani jak pełnoprawny członek wspólnoty, czego dowodem jest hańbiący Brukselę brak wsparcia przy kryzysie uchodźczym. Wobec tego nie powinniśmy płacić składek członkowskich. Solidarna Polska złożyła już w tej sprawie wniosek do premiera.

Co można zrobić w sytuacji, gdy zagraniczne podmioty finansują istniejące w Polsce organizacje podważające konstytucyjny ład publiczny, np. w zakresie praw rodziny i małżeństwa?



FOT. XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Najważniejsza jest przejrzystość. Społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy, jak wiele organizacji funkcjonujących w przestrzeni publicznej realizuje ideologiczną agendę za cudze pieniądze. W tym celu Solidarna Polska przedstawiła 30 marca 2022 r. projekt ustawy wprowadzający transparentność finansowania organizacji pozarządowych z zagranicy. Polacy muszą wiedzieć, kto płaci aktywistom, którzy sięją zamęt w umysłach młodych ludzi czy celowo podważają działania rządu w czasach kryzysu, sięjąc dezinformację. Takie rozwiązania istnieją od lat na całym świecie, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych. Popłoch, jaki wywołał nasz projekt, udowadnia, że jest on bardzo potrzebny. Niedawno wyszło na jaw, że Kreml szczerze finansował ekologów w Niemczech, by spokojnie dokończyć budowę antyeuropejskiego gazociągu Nord Stream 2. Nie zdziwię się,

Niedawno wyszło na jaw, że Kreml szczerze finansował ekologów w Niemczech, by spokojnie dokończyć budowę gazociągu Nord Stream 2

jeśli to samo dzieje się w przypadku działaczy spod znaku tęczowej flagi czy Strajku Kobiet. W tym wypadku sponsorami mogą okazać się George Soros bądź inni lewicowi doktrynerzy. Transparentność pozwoli ocenić skalę manipulacji oraz prawdziwe intencje wielu NGO-sów atakujących rzeczywiste wartości.

Zapytam o sądy. Można odnieść wrażenie, że polski wymiar sprawiedliwości niemal zawsze staje

po stronie promotorów ideologii LGBT i wydaje wyroki takie jak np. w przypadku „tęczowej aureoli” na wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej. Czy obraza uczuć religijnych katolików w ogóle w Polsce funkcjonuje?

Za sprawą działania opozycji, która wzywa do „piłowania” katolików i wspiera pochody, na których dewastowane są kościoły, to, co jeszcze niedawno było w Polsce zupełnie nie do pomyślenia, dzisiaj zaczyna stawać się poważnym zagrożeniem. W przestrzeni publicznej na stałe zagościły wulgarne hasła, którymi aborcjonistki „udekorowały” mury kościołów w całej Polsce. Jak wynika z badań Laboratorium Wolności Religijnej, wzrost ataków na osoby wierzące jest bardzo znaczący. Przykładowo w 2019 r. mieliśmy w Polsce 72 kazusy naruszenia wolności religijnej, w roku 2020 – aż 311. Zdecydowana większość – 300 przypadków – dotyczyła ataków na katolików. Skala ataków na chrześcijan i pogwałcenia obowiązującego prawa przekroczyła wszelkie znane dotychczas w naszym kraju granice.

Zorganizowany antyklerykalizm nie pozostawia obecnie żadnych złudzeń jako obiektywnie istniejące zagrożenie dla wolności religii. Niestety, często idzie to w parze z brakiem konsekwencji spowodowanym rozpadem systemu ochrony wolności sumienia i religii. Obserwujemy to głównie w europejskiej przestrzeni prawnej, ale niestety także w polskich sądach. Zachodzi proces wypaczenia pierwotnego znaczenia norm i chronionych przez nich wartości. Brakuje odpowiedniego balansu pomiędzy wolnością słowa a wolnością religijną. Dotyczy to przede wszystkim stosowania prawa, szczególnie interpretacji sędziowskiej. Wraz z powszechną relatywizacją pojęć i postulatem aktualizacji moralności ztraca się istotę praw podstawowych. Odpowiedzią na ten stan rzeczy jest złożony przez Solidarną Polskę projekt nowelizacji Kodeksu karnego, który rozszerzy ochronę wolności sumienia i wyznania. Chcemy wprowadzić bardziej precyzyjne przepisy. Nie zwiększamy kar, ale zwiększamy ochronę tych podstawowych i kluczowych praw. W obliczu nienawiści rozniecanej wobec katolików niezbywalne prawa człowieka wymagają większej ochrony. Nasz projekt to zagwarantuje.

Lata 60. to także rewolucja seksualna zainaugurowana wprowadzeniem w pierwszej połowie tej dekady na rynki po obu stronach Atlantyku farmakologicznych środków antykoncepcyjnych. Na „pigułce” (podobnie jak na innych aspektach rewolucji seksualnej) najbardziej skorzystali mężczyźni, zwolnieni z konsekwencji społecznych wcześniej związanych z pojawieniem się przedślubnego potomstwa. Tak zwana mentalność antykoncepcyjna – jak głosili rewolucjoniści z pokolenia ’68 – oznaczała również emancypację kobiet, czyli zachętę do demoralizacji pod hasłami „bezpiecznego seksu” i rozporządzenia przez kobiety własnym ciałem (im bardziej rewolucja postępowała, tym szczególnie i tym wulgarniej wymieniano elementy tego ciała jako gwarantów walki z „piekłem kobiet”).

Niedawno mogliśmy przekonać się w naszym kraju, że samo użycie terminu „cnoty niewieście” budzi falę hejtu przemieszanego z ironicznymi złośliwościami. Tymczasem – jak zauważył kilkadziesiąt lat temu bł. Prymas Tysiąclecia – „odejście mężczyzn od Boga nie jest jeszcze największą tragedią świata, ale odejście kobiet jest tragedią niemalże krańcową, bo w takiej sytuacji nie ma drogi powrotu. [...] Zdają sobie z tego sprawę liczni strategowie wojującego ateizmu, którzy zawzięli się, aby kobiecie odebrać wiarę, bo wówczas zwycięstwo byłoby pewne” (Warszawa, 5 sierpnia 1964 r.).

Do tych „strategów wojującego ateizmu” w latach 60. XX w. doszła spora część hierarchów kościelnych na Zachodzie, którzy de facto wszczęli bunt przeciw potwierdzeniu przez Magisterium Kościoła chrześcijańskiej wizji małżeństwa i rodziny, uwzględniającej wymiar trzyma, czyli wyrzeczenia (ascezy) w relacjach współmałżonków. Faktyczne odrzucenie encykliki „Humanae vitae” (1968) św. Pawła VI jest najbardziej dramatyczną ilustracją takiego samobójczego dla Kościoła i dla rodziny stanowiska większości episkopatów zachodnioeuropejskich i północnoamerykańskich.

Wielu biskupów niemieckich, francuskich czy amerykańskich nie było w stanie podpisać się pod słowami, które na początku tej feralnej dekady wypowiedział w Polsce bł. kard. Stefan Wyszyński, zwracając się do mężczyzn: „Najmilsi! Spraw współżycia dwojga nie rozstrzy-

gniecie za pomocą techniki, jedynie za pomocą ducha! Rozstrzygniecie je, jeżeli będziecie pamiętali o równych prawach mężczyzny i kobiety w małżeństwie, o swojej wysokiej godności i o godności waszej małżonki. Jest ona nie tylko ciałem, ale i duchem, i dzięki temu jest człowiekiem. Trzeba więc uszanować w niej i wielbić nie tylko ciało, które Bóg ukształtował, ale i ducha, którego jej ciało dał. Musisz szanować ją nie tylko dla walorów jej ciała, ale i ducha, bo duch jest, który ożywia” (Bydgoszcz 11 września 1960 r.).

OD RZEMYCZKA DO KONICZKA

Odrzucenie „Humanae vitae” było dramatycznym wyrazem poważnego kryzysu, który drażył Kościół powszechny. Podobnie jak w wiekach poprzednich również w stuleciu XX duchowy oraz intelektualny kryzys Kościoła (a właściwie kryzys wiary i rozumienia wielu hierarchów kościelnych) przekładał się na kryzys całej cywilizacji stworzonej „w cieniu katedr”, w tym na obecność w społeczeństwach i sferze kultury chrześcijańskiej wizji rodziny.

W sferze świeckiej (pokazuje to przykład amerykański) w ciągu pół wieku została pokonana droga od legalizacji sprzedaży środków antykoncepcyjnych w USA (1965) do legalizacji na poziomie federalnym tzw. małżeństw jedнопłciowych (2015). W sferze kościelnej (pokazuje to przykład niemiecki) mniej więcej tyle samo trwało przebycie drogi od odrzucenia encykliki „Humanae vitae” (1968) do błogosławienia przez hierarchów kościelnych „związków jedнопłciowych” (2021). To itinerarium ma w obu przypadkach tę samą nazwę: kryzys rodziny.

Kamieniem milowym w procesie destrukcji odziedziczonego po chrześcijaństwie modelu rodziny w świecie zachodnim było podjęte w 2015 r. przez amerykański Sąd Najwyższy większością jednego głosu (5:4) orzeczenie legalizujące „małżeństwa jedнопłciowe” na całym obszarze USA. Jak wskazywała ekspertyza nadesłana do Sądu w formie listu amicus curiae przez ponad stu ekspertów z różnych dyscyplin naukowych (m.in. socjologii, psychologii, pediatrii, prawa rodzinnego), legalizacja „związków jedнопłciowych” oznaczała kolejny cios w rodzinę. Naukowcy odwoływali się w tym kontekście do zauważanej od lat prawidłowości, wedle której legaliza-

cja „małżeństw jedнопłciowych” zawsze oznaczała spadek (ok. pięcioprocentowy) liczby zawieranych małżeństw między kobietami a mężczyznami. Autorzy ekspertyzy stwierdzali, że „jeśli narzucona redefinicja małżeństwa powodowała jedynie pięcioprocentowy spadek zawierania małżeństw między różnymi płciami w USA, to można racjonalnie zakładać, że w ciągu kolejnych 30 lat ten spadek przyniesie efekt w postaci niemal 1,3 mln kobiet, które nie zawrą związku małżeńskiego”.

Podobna prawidłowość – podkreślali autorzy listu amicus curiae – dotyczyła również innych państw. W Hiszpanii w ciągu dziewięciu lat po legalizacji „małżeństw jedнопłciowych” liczba zawieranych małżeństw „różнопłciowych” spadła o 36 proc. W Kanadzie spadek ten wynosił 4,3 proc., a w Belgii 7,7 proc.

Autorzy innej ekspertyzy, która dotarła do amerykańskiego Sądu Najwyższego przed ogłoszeniem orzeczenia w sprawie Obergefell vs. Hodges (2015), wskazywali na korelację między legalizacją „małżeństw jedнопłciowych” a spadkiem dzietności. Pokazywano, że spadek ten w latach 2005–2010 był dwa razy większy w tych amerykańskich stanach, które zdecydowały się zalegalizować „związki jedнопłciowe”.

Eksperti, którzy sporządzili te dwie cytowane opinie, byli zgodni co do tego, że w dalszej konsekwencji planowana legalizacja „małżeństw jedнопłciowych” doprowadzi do nasilenia innych destrukcyjnych dla rodziny zjawisk, takich jak aborcja czy pojawienie się potomstwa w związkach pozamałżeńskich. Pięcioprocentowy spadek liczby zawieranych małżeństw oznaczać będzie, jak twierdzą autorzy pierwszej z cytowanych ekspertyz, w ciągu kolejnych trzech dekad 900 tys. więcej aborcji i 600 tys. więcej dzieci rodzących się w rozbitych rodzinach (bez ojca). W naturalny sposób legalizacja „małżeństw jedнопłciowych” pociągnie za sobą zwiększenie liczby dzieci wychowywanych w takich związkach, co zdaniem cytowanych naukowców oznaczać będzie „podważenie rodzinnej stabilizacji” dla niemal 74 mln dzieci w Ameryce w ciągu następnych 30 lat.

A na początku – jak zawsze – było słowo. W tym przypadku głoszące, że podstawą życia rodzinnego jest „dążenie do szczęścia dwóch dorosłych osób”.



FOT. XXXXXXXXXXXXX

Czy obronimy naszą tożsamość?



sytuacją mamy do czynienia w ostatnich miesiącach na Ukrainie, gdzie odpowiedzią na agresję imperialną Rosji nie jest ucieczka. Nie jest nią także powiedzenie: „Trudno, przeniesiemy się gdzieś indziej. Nie będziemy się bronić, bo narazimy w ten sposób nasze zdrowie i życie. Lepiej uciec”. Nie jest nią postawa promowana przez „nowoczesny” świat, która polega na tym, że w imię komfortu lepiej uciec niż się bronić, ponieważ obrona domu jest czymś przestarzałym, staroświeckim, zaściankowym. Czymś, co nie odpowiada wizji postnowoczesnej, posttożsamościowej. Wizji, którą lansowano kiedyś pod hasłami sformułowanymi przez podpułkownika służb specjalnych stalinowskiej Polski – Zygmunta Baumana.

Ma pan na myśli tzw. płynną ponowoczesność?

Tak. Istotą tej idei, ideologii, jest to, że człowiek nie ma żadnej stabilnej tożsamości, w związku z czym nie ma także ani domu, ani żadnego trwałego przywiązania. Jego celem – czy może raczej przeznaczeniem – jest płynąć z prądem, który niesie go coraz dalej. Człowiek powinien się do tego zaadaptować i – co za tym idzie – specjalnie się do niczego nie przywiązywać, bo jego potrzeby określa bieżąca chwila.

Paradoksalnie ideologia postmark-sistowska czy kontynuująca marksizm zgadza się z czymś, z czym marksizm formalnie wojował, czyli z logiką konsumpcjonistycznego kapitalizmu. Ta właśnie logika wymaga, żeby człowiek nie miał żadnej trwałej tożsamości, ponieważ tylko wtedy, kiedy jej nie ma, można mu wmówić wszystko, można mu wcisnąć każdy produkt pod pozorem tego, że bez niego życie straci sens. „Wybierz siebie – wybierz coca-colę!” – to jest slogan tej ideologii. Czyli człowiek nie ma żadnej tożsamości, bo jego tożsamością dzisiaj jest coca-cola, a jutro będą nią nowe rajstopy, nowy krem upiększający, nowy sprzęt RTV etc.

To właśnie pokazuje logikę działania tego systemu, w którym nie istnieje coś takiego jak dom, i nie mam tutaj na myśli jedynie budynku, tylko coś, co dawniej określano jako imponderabilia, czyli coś, czego nie da się zmierzyć, obliczyć, zważyć.

Dom, o którym mówię, to m.in. godność człowieka. Godność, która wiąże się z odpowiedzialnością nie tylko za siebie, lecz także za innych. Jeśli pojawia się zagrożenie dla mojego domu, to go bronię. Jeśli jestem mężczyzną, to mam określoną rolę społeczną związaną z historią naszej ludzkiej tożsamości, w której następuje

Z prof. Andrzejem Nowakiem

rozmawia Tomasz D. Kolanek



TOMASZ KOLANEK: Jak ocenia pan obecną kondycję polskiej tożsamości: narodowej, kulturowej, cywilizacyjnej?

PROF. ANDRZEJ NOWAK: Sądzę, że następują zmiany, których nie przewidywaliśmy. Są one związane z „wpływami zewnętrznymi”, których doświadczamy w roku 2022. Mam na myśli imperialną, zbrodniczą politykę Władimira Putina – inspiratora rosyjskiej

agresji na Ukrainę – oraz odpowiedź na tę agresję ze strony samych Ukraińców, która pokazuje nam najgłębszą prawdę o naturze ludzkiej wspólnoty. O naturze, która została w jakiejś mierze zapomniana i świadomie była zamazywana i rugowana w ostatnich kilkudziesięciu latach.

Istotą tej natury jest to, że ludzie tworzą pewne wspólnoty, a najbardziej naturalną z nich jest wspólnota naszego domu opartego na rodzinie. Jeśli przychodzi ktoś obcy do naszego domu, sięga po naszą własność, próbuje zgwałcić naszą żonę, córkę, siostrę, matkę, to naturalnym odruchem jest wtedy stanąć do obrony tego domu. Z taką

■ historyczny podział odpowiedzialności. Nie ma hierarchii tej odpowiedzialności, ale jest wyraźnie wyznaczony jej podział. Mężczyzna historycznie broni swojego domu, broni swojego terytorium rozumianego nie jako puste miejsce, ale jako miejsce, które wypełnia duch wspólnoty, którą dzieli z rodziną – żoną, dziećmi, rodzicami, którym pomaga. To jest właśnie etyka godności, którą buduje odpowiedzialność za tę najbardziej podstawową wspólnotę.

Jaki wpływ w związku z tym na polską tożsamość ma sytuacja na Ukrainie?

Z Ukrainy wyjeżdżają w przytłaczającej większości kobiety z dziećmi, a mężczyźni często dobrowolnie, a nie z przymusu, bo tym właśnie jest obowiązkowa mobilizacja i pobór rezerwistów, bronią swojego domu. Widzimy również, że bardzo wielu Ukraińców mieszkających w Polsce wraca do ojczyzny, aby jej bronić, i to pomimo tego, że państwo ukraińskie nie ma tutaj nad nimi mocy. Mogliby oni przecież zostać w Polsce i się tutaj dekować, ale wielu z nich tego nie czyni, tylko wraca na Ukrainę walczyć, bo wie, że jest ona ich wspólnym domem, który chcą obronić przed barbarzyńskim agresorem z zewnątrz.

W mojej ocenie to wszystko sprawia, że nasza polska kondycja narodowa, tożsamościowa się poprawia. Istota tego, co wynika z lekcji ukraińskiej, nie polega tylko na tym, że Ukraińcy bronią swojego domu, bronią granic naszego domu i naszej wolności. Istota tej lekcji ukraińskiej jest dużo głębsza i dużo ważniejsza – Ukraińcy burzą system postnowoczesności, w którym nie ma miejsca na przywiązanie człowieka do niczego innego niż jego własny interes, jego własna przyjemność, jego własna zmieniająca się z dnia na dzień płynna, ponowoczesna, komfortowa sytuacja.

To jest właśnie ta zmiana, którą widzimy na własne oczy i na którą reagujemy tak, jak reagujemy, to znaczy: przyjmujemy Ukraińców.

Wielu jest zbulwersowanych tym faktem. Dziwią się oni, że Polacy przyjmują Ukraińców, a imigrantów codziennie atakujących granicę z Białorusią już nie.

Ta różnica szokuje najbardziej zwolenników płynnej ponowoczesności: Dlaczego Polacy nie wpuszczają tych młodych, zdrowych mężczyzn wspieranych przez policję Łukaszenki, a wysyłanych de facto przez Putina, którzy mają pełną zdolność do pracy, ale nie pracują, tylko używają swoich mięśni jedynie po to, żeby przebić się do miejsca, w którym nic nie będą musieli

Polacy w coraz większej liczbie zdają sobie sprawę, że bycie narodem, bycie wspólnotą nie jest czymś wstydliwym

robić i żyć z zasiłków? „Dlaczego Polacy nie chcą ich wpuścić? Dlaczego się przed nimi bronią?” – pytali wyznawcy płynnej ponowoczesności czy to na Zachodzie, czy to w Polsce, którzy oburzali się tym faktem. „Dlaczego Polacy wpuszczają na swoje terytorium tak nieprawdopodobną w swojej skali liczbę kobiet i dzieci z Ukrainy? Dlaczego ich przygarniają?” – niedowierzali.

Nie mam wątpliwości, że ta sytuacja świadczy o polskim zdrowym instynkcie. Polacy rozumieją, że w przytłaczającej większości z Ukrainy uciekają do nas kobiety i dzieci, a więc słabsze istoty, które potrzebują pomocy. Te kobiety i dzieci z Ukrainy nie wybrały tego losu – ucieczki do Polski – po to, żeby szukać komfortowego życia. Zrobiły to dlatego, że ich dom jest zagrożony, niszczone, a ich mężowie, bracia, ojcowie bronią tego domu.

To jest właśnie powrót do pewnego rodzaju podstaw naszej ludzkiej natury, na które odpowiedzieliśmy w Polsce zgodnie z regułami ludzkiej natury.

Podam jeszcze jeden przykład, który odzwierciedla tę pozytywną zmianę. Obchodzimy od kilkunastu lat 2 maja Święto Flagi. Co roku obserwuję na moim osiedlu, ile osób wywiesza tego dnia biało-czerwone barwy. Przez lata nie było z tym najlepiej, ale nigdy nie było tak dobrze jak w tym roku.

Czy była to symboliczna odpowiedź Polaków na sytuację wojenną za naszą wschodnią granicą?

W mojej ocenie tak, ale nie tylko. Drugim powodem bez wątpienia był fakt, że po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę na tysiącach polskich domów pojawiły się flagi niebiesko-żółte, czyli barwy narodu sąsiedniego, który szanujemy za jego postawę w obronie własnego domu niezależnie od rachunków historycznych. Wiele osób pomyślało: „Jak to? Wywieszamy flagę Ukrainy, a nie wywieszamy flagi Polski? Będziemy się jej wstydzić?” i wywiesiło biało-czerwone barwy. Wiele z nich nie zostało zdjętych 4 maja, tylko ciągle dumnie wiszą na swoim miejscu.

To jest ta zmiana, którą obserwujemy po 24 lutego 2022 r. Polacy w coraz

większej liczbie zdają sobie sprawę, że bycie narodem, bycie wspólnotą nie jest czymś wstydliwym, tylko jest powodem do dumy. Postawa Ukraińców, którzy podkreślają znaczenie swojego patriotyzmu, heroizmu w walce, w obronie własnego domu, sprawia, że nagle spoglądamy na to, na co tak krzywo i szyderczo patrzono przez najsilniejsze media, że trzeba wstydzić się patriotyzmu, że to faszyzm, że tak nie przystoi prawdziwym Europejczykom i ludziom nowoczesnym, postnarrowoczesnym.

Tego typu narracja została zakwestionowana przez dramatyczny przykład Ukrainy. Czy powiemy dzisiaj: „Ukraińcy to faszyci, ponieważ się bronią przed agresją”? Nie! Obrona własnego domu nie jest faszyzmem, a to nam wmawiano do niedawna nie tylko ze strony propagandy Putina, lecz także przez polskie media, że przypomnę chociażby opublikowany kilkanaście lat temu w „Gazecie Wyborczej” tekst pt. „Patriotyzm jak faszyzm”.

Według niektórych propagandystów pierwszymi uchodźcami, którzy mieli przybyć z Ukrainy do Polski, nie były kobiety i dzieci, tylko tzw. osoby LGBT. Jaką to próbowano przy tym nakręcić antypolską spiralę! Lewicowi aktywiści jeździli na granicę, żeby sprawdzać, czy nie ma tam dyskryminacji tzw. osób LGBT, a niektóre organizacje obiecały zorganizowanie specjalnej pomocy tylko dla takich osób w Polsce, aby obronić je przed „polską nienawiścią”. Polacy jednak przyjęli tych ludzi i pomogli im...

Na granicy z Ukrainą, o ile mi wiadomo, nikt nie sprawdzał „orientacji seksualnej” uchodźców ani jakichkolwiek innych czynników mogących różnicować ludzi, jak np. wyznania religijnego.

Przypomnę, co sugerowano w obrazie nietolerancyjnej Polski, której tożsamość trzeba raz na zawsze porzucić. Jednym z elementów takiej Polski miał być rzekomy szowinizm etniczny i religijny, że podobno chcemy w Polsce tylko katolików. Nie jest tajemnicą, że ogromna większość ludzi przybywających z Ukrainy do Polski to nie są katolicy, i nie mam tutaj na myśli rozróżnienia na rzymskich i greckich katolików, tylko to, że większość uchodźców z Ukrainy to prawosławni. I co? I Polacy nie mają z tym żadnego problemu.

Tym bardziej nie słyszałem żadnych podziałów i sugestii typu: „Może ta pani to reprezentantka ruchu LGBT? A ten pan to transkobieta? Jeśli tak, to nie wpuścimy ich do Polski”. Polacy postępują całkowicie odwrotnie, niż miałyby to wynikać z narracji ruchów ideologii

LGBT czy tych ruchów, które za główny cel stawiają sobie szerzenie nienawiści.

Nienawiści?

Tak, nienawiści! Istotą tych ruchów jest nienawiść do tego, co uważają za przestarzałą tożsamość, którą chcą zlikwidować, żeby wprowadzić to, o czym mówimy – zmienną, płynną możliwość wybierania tożsamości, przede wszystkim seksualnej: dzisiaj ktoś powie, że jest kobietą, ale jutro ogłosi się mężczyzną, żeby pojutrze stwierdzić, iż jest płcią numer 46. To jest tylko przykład pewnego rodzaju pola, na którym dokonuje się ta manipulacja z ludzką naturą. Nie chodzi tylko o promocję tzw. płci kulturowej, ale o przekonywanie nas, że nie mamy żadnej stałej tożsamości, żadnych stałych obowiązków i że przysługuje nam prawo do nieograniczonego wolnego wyboru naszej co chwila innej tożsamości. Ci wszyscy, którzy uważają, że tego rodzaju „wybór” jest niemądrym i sprzecznym z naturą i w związku z tym niemającym perspektywy utrwalających naszą ludzką kulturę, są oskarżani o faszyzm, nienawiść i wszelkie możliwe fobie.

Ludzie, o których teraz mówię, starają się spoglądać na wszystko przez pryzmat swojej ideologii. Najlepszym objawem tego typu postawy były reportaże z granicy polsko-ukraińskiej z pierwszych dni wojny. Starano się w nich udowodnić, że Polacy segregują uchodźców według koloru skóry, to znaczy, że obok setek tysięcy Ukraińców pojawiły się setki osób reprezentujące inną rasę. Najczęściej byli to studenci z Afryki czy z Azji, a część mediów starała się za wszelką cenę pokazać, że Polacy ze względu na ich kolor skóry i rysy twarzy nientolerancyjnie traktują tych właśnie ludzi, separując ich od ludności ukraińskiej, którą przyjmuje się na zasadzie rasistowskiej.

Przyjmując Ukraińców, okazaliśmy się rasistami?

Tak! W mediach, o których mówię, dominowała narracja, że Polacy raz jeszcze dali dowód swojego rasizmu, przyjmując 2,5 mln ludzi sobie podobnych. Było to kompletnie sprzeczne z prawdą, z faktami. Na granicy z Ukrainą nie było żadnej tego rodzaju segregacji, tylko polskie służby realizowały określone procedury prawne: odrębne procedury dotyczący przyjmowania obywateli Ukrainy – państwa objętego stanem wojny – a inne przyjmowania obywateli państw trzecich: z Indii, Iranu, Maroka etc., w wypadku których musiały zostać sprawdzone dokumenty tych ludzi.

To jest naturalna procedura wynikająca nie z rasizmu, tylko ze stanu prawnego. Tymczasem telewizje zdominowane przez ideologię nienawiści, nienawiści do tożsamości kulturowej, chrześcijańskiej, europejskiej, starały się tropić rzekome polski rasizm, szowinizm, ksenofobię. Krótko mówiąc – chciały dać swoim widzom powód do nienawiści, do pogardy wobec Polski i Polaków.

Jakże charakterystyczna była wypowiedź pewnej aktorki, niegdyś wybitnej, a teraz słynącej jedynie z występów medialnych, która dziwiła się, jak to jest możliwe, że Polacy, którzy zawsze zachowują się ohydnie, są odrażający, źle traktują zwierzęta, bo budują mur na granicy z Białorusią, jednocześnie przyjmują 3 mln uchodźców z Ukrainy. „Coś tu jest nie w porządku. Na pewno kryje się za tym jakaś polska podłość” – stwierdza ta przedstawicielka elit. Elit, które opierają i budują swoją elitarność na pogardzie

Telewizje zdominowane przez ideologię nienawiści do tożsamości chrześcijańskiej starały się tropić rzekomy polski rasizm, ksenofobię

wobec zwykłych ludzi. To jest istota ich elitarności – nienawiść do mas, nienawiść do zwykłych ludzi, do ich przywiązań, do ich tradycji, do ich zachowań. Ich elitarna pozycja musi być lepsza, więc szukają tego, co złe, w pozycji większości współobywateli, od których muszą czuć się lepsi, wybitniejsi, moralniejsi.

Niestety, u zdecydowanej większości tzw. celebrytów i autorytetów moralnych nie widzę jakiegokolwiek refleksji nad tym, że może Polacy są inni, niż oni uważają.

Ma pan rację. Oni tropią dalej i niczym jedyną możliwą prawdę powtarzają to, co podsuną im środowiska napędzane nienawiścią. Ci ludzie np. twierdzą, że trzeba zorganizować jakąś europejską opiekę dla Ukrainek, ponieważ w Polsce nie ma pełnego dostępu do aborcji, najlepiej do porodu. I co? I mamy do czynienia ze szturmem nienawiści na Polskę, która znowu jest przedstawiana jako ciemnogród i kraj faszystowski, ponieważ „prześladuje się w Polsce” Ukrainki, uniemożliwiając im aborcję na żądanie...

Ta ideologia nienawiści jest zaprzeczeniem już nie tylko normalności, lecz

także rzeczywistości. Ukraińcy bronią swojego domu przed agresorami, którzy gwałcą, biją, pałą, mordują tysiące cywilów, a środowiska ideologii nienawiści mówią: „W Polsce jest gorzej, bo kobiety z Ukrainy, które docierają nad Wisłę, nie mogą dokonać natychmiastowej aborcji, tzw. osoby LGBT nie mogą zmienić płci i wziąć ślubu, a to przecież ich pierwsza, podstawowa potrzeba...”. To tylko najbardziej ogólne przykłady stopnia szaleństwa ideologicznego środowisk nienawiści.

Środowiska nienawiści, o których pan mówi, powtarzają również, że Polacy zachwycają się Putinem, ponieważ jest on, jak głoszą ci ludzie, „największym na świecie wrogiem ideologii LGBT”. Ich zdaniem „każdy, kto jest przeciwko LGBT, jest za Putinem”.

Władimir Putin posługuje się odwołaniami do tradycjonalistycznych idei i poglądów w celach czysto instrumentalnych. Jeżeli człowiek, który publicznie gratuluje prezydentowi Izraela, że zgwałcił 10 kobiet, ma być wzorem tradycjonalizmu i obrońcą konserwatywności, to wiemy dobrze, a przynajmniej wie to każdy, kto poważnie traktuje zasady chrześcijańskie, że jest to czysta ideologiczna fikcja i propaganda ze strony Putina.

Poza niezwykle wąskim marginesem ludzi, którzy albo są płatnymi agentami Putina w Polsce, i takich, którzy dają się zwieść tej idei, ogromna większość polskich środowisk konserwatywnych wie, że Putin nie jest żadnym obrońcą tradycji konserwatywnych, tylko że jest po prostu skrajnym rosyjskim szowinistą, imperialem, który nagina każdą ideę do swoich celów imperialnych i potrafi równie dobrze grać zarówno ideami konserwatywnymi, jak i ideologią lewicową, do której zresztą bardzo chętnie się odwołuje, mówiąc np. o tym, że trzeba zrzeszyć wszystkie ruchy opierające się wpływowi USA, bo Amerykanie reprezentują przecież najgorszy imperializm na świecie. W związku z tym każdy, kto jest nastawiony antyamerykańsko, a najczęściej są to właśnie środowiska lewicowe, powinien pójść za Putinem.

Jeżeli tego rodzaju czysto postmodernistyczna koncepcja ideologii, która ma służyć uzasadnieniu imperialnej agresji, ma być dowodem na to, że konserwatyzm równa się służbie Putinowi, to jest to teza niemająca żadnego związku z rzeczywistością, a w każdym razie na pewno nie z polską rzeczywistością, bo w Polsce konserwatyzm ma tradycje zasadniczo i fundamentalnie antyimperialne.



Nie tylko „Dziady”



Krystyna
Różańska-Gorgolewska

Zjawisko postępującej ekspansji ideologii LGBT w sztuce i kulturze jest niepokojące na wielu poziomach

Nie rozumiemy – myślę tu o ludziach cywilizacji łacińskiej – skąd, jak i dlaczego w sferze sztuki i kultury, sferze, którą chcieli-

byśmy mieć i mieliśmy za tę, poprzez którą zbliżamy się do prawdy, obcujemy z pięknem, która wzbogacała i rozwijała przez wieki naszą cywilizację zachodnią,

jest obecnie tak wiele tego, co tę cywilizację zbudowaną na chrześcijaństwie chce zdezasuować i zdeprecjonować.

Jaki wpływ wywrze w przyszłości na społeczeństwo, jak zmieni naszą cywilizację sztuka promująca ideologię LGBT, nie wiemy, bo nie znamy przyszłości. To, co wiemy jednak na pewno (gdyż znamy przeszłość), to to, że kultura i sztuka bazujące na kulturze łacińskiej przyczyniły się do rozwoju kultury i cywilizacji zachodniej. Z tej gleby powstały arcydzieła sztuki i kultury oraz odniesienia dla wielu pokoleń kolejnych twórców. Skoro sztuka promująca ideologię LGBT nieustannie staje w kontrze i podejmuje próby dekonstrukcji użytecznego dla rozwoju i budującego cywilizację Zachodu systemu wartości chrześcijańskich, to mamy jako wyrośli z tejże cywilizacji pełne prawo, a wręcz obowiązek tak rozumianą barbarię kontestować bez względu na to, czy jesteśmy czy nie ekspertami danej dziedziny sztuki. Równocześnie z problemem wyrażonej nadreprezentacji i dominacji jedynie afirmatywnej narracji o ideologii LGBT w świecie sztuki idzie drugi: rugowania, wykluczania i deprecjonowania sztuki,

która mówi afirmatywnie o religii i wartościach chrześcijańskich.

KLIKA I SZTUKA

Kwestie dotyczące problemów społeczności LGBT odnoszą się do znikomej części społeczeństwa. Tym bardziej niepokojący i kuriozalny jest stan onieśmienia większości w wyrażaniu bez kompleksów własnego zdania na temat sztuki, która wartości czy styl życia tej większości deprecjonuje. Dzieje się tak dlatego, że dorobek kultury i cywilizacji łańskie nauczył nas szacunku do instytucji kultury. Dawniej w przestrzeniach wystawienniczych, instytucjach kultury, teatrach etc. prezentowane były wybitne dzieła stanowiące wypadkową talentu i warsztatu artystów, podziwiane ze względu na te wartości i umiejętności, których pozbawiona była przeciętna jednostka. Tym samym instytucje, w których eksponowano efekty działalności twórczej tych wybitnych, stawały się miejscami prestiżowymi. Współcześni twórcy, wykorzystując tę wyrobioną przez wieki pozycję artysty i instytucji wystawienniczych, są beneficjentami tego prestiżu z samej racji znalezienia się w tej instytucji. Stąd do sztuki współczesnej najzgodniej ze stanem faktycznym odnosi się definicja sztuki instytucjonalnej. Przypomnijmy, że od czasów Beuysa, czyli od lat 60. i 70., zgodnie z jego postulatami, sztuką może być wszystko, a artystą każdy. W świecie i czasach, w których nie korzysta się z klasycznych definicji sztuki, dominuje w praktyce określanie mianem sztuki każdego artefaktu, który zostaje umieszczony w instytucji sztuki i zostaje wystawiony na ocenę przez ludzi świata sztuki: krytyków, kuratorów, dyrektorów tych instytucji. Zatem wszystko to, co znajdzie się w obrębie instytucji czy galerii. Dziełem sztuki w klasyfikacyjnym sensie jest więc artefakt, któremu ze względu na pewne cechy jakaś osoba lub osoby działające w imieniu świata sztuki nadały status kandydata do oceny.

Każde dzieło sztuki jest artefaktem, czyli wynikiem pracy istot ludzkich, np. wyrzucony na brzeg morza kawałek drewna można uznać za artefakt, jeśli ktoś go podniesie i wystawi w galerii sztuki. Innymi słowy, umieszczenie kawałka drewna w galerii, tak aby inni ludzie mogli go obejrzeć, będzie się w pewien sposób liczyło jako praca nad nim.

Jeśli chodzi zaś o osoby działające w imieniu „świata sztuki”, to mogą nimi być sami artyści, producenci finansujący

przedsięwzięcia artystyczne, pracownicy instytucji artystycznych, krytycy, teoretycy, historycy sztuki, a także publiczność (choć oddziaływanie tej ostatniej jest najmniejsze, gdyż ogranicza się do prywatnych, niekolportowanych szerzej opinii – nie eksperta). O tym, czy coś jest dziełem sztuki, decyduje już samo to, czy znajdzie się ono w odpowiedniej instytucji. Zostaje tam przecież umieszczone nie przez publiczność, tylko przez wąskie grono członków świata sztuki. O mechanizmach tych pisała poniekąd Monika Małkowska w 2015 r. w słynnym artykule „Mafia bardzo kulturalna”, choć ja słowo „mafia” zastąpiłabym słowem „klika”, użytym przez prof. Krynę Daszkiwicz w książce „Klimaty bezprawia”. Działalność mafii jest bowiem działaniem przestępczym, penalizowanym, a działanie „klik” jest zgodne z prawem i opiera się na wspólnych zależnościach, interesach, ale i bliskich towarzyskich związkach. O paru takich towarzysko-zawodowych relacjach w artystycznym środowisku homoseksualistów mówił aktor Jacek Poniedziałek w artykule „Ukryta droga wyjścia z polskiego piekła” w 2021 r.

Ideologia LGBT w sztuce również przeplata się, współistnieje i jest wspierana w pewnego rodzaju sprzężeniu z innymi ideologiami lewicowo-liberalnymi, takimi jak gender czy lewicowy feminizm. Jej eksansja nie ogranicza się do opanowania sal wystawienniczych, desek teatralnych i innych instytucji sztuki. Ma ona solidne wsparcie teoretyczne i naukowe, wypracowane i wdrażane metodologię naukowe. Profesor historii sztuki i Woman's Studies na University of Connecticut Anne D'Alleva jeden z rozdziałów swojej książki „Metody i teorie historii sztuki” poświęciła głównym współczesnym metodologiom historyczno-artystycznym. Są nimi splatające się, uzupełniające w praktyce i realizujące postulaty neomarksizmu teorie: feminizmu, seksualności, LGBT, teoria queer, studia nad kulturą. Autorka prezentuje wybrane, najczęściej stosowane dziś teoretyczne podejścia, kierunki współczesnej historii sztuki i zakłada, że jej czytelnikami będą studenci poważnie zainteresowani praktycznym zastosowaniem wiedzy historyczno-artystycznej, angażujący się w intelektualną, polityczną i artystyczną działalność. Nasuwa to skojarzenie z działalnością komunistycznej działaczki Aleksandry Kołłątaj, która za pomocą ideologii drastycznego wyzwolenia seksualnego, w tym homoseksualnego, już na początku XX w. stworzyła nowy bolszewicki porzą-

dek, także przy użyciu sztuki jako jednego z narzędzi zmiany społecznej.

Potwierdzenie intuicji, że współczesna ideologia LGBT ma wiele wspólnego z ideologią marksistowską, znajduje się w wydanej w Polsce przez Universitas książce Anne D'Allevy, która pisze: „We wczesnych latach 90. XX w. wielu studentów twierdziło, że myśl marksistowska jest niegodna uwagi lub że jest błędna, ale marksizm jest czymś więcej niż teoretyczną czy praktyczną podstawą rządów komunistycznych, w rzeczywistości marksizm krytyczny (czasem nazywany marksizmem zachodnim, gdyż rozwijał się szczególnie w Europie i Ameryce Północnej) przyczynił się do powstania niedogmatycznego, otwartego szkolnictwa i to ta myśl marksistowska okazuje się najbardziej twórcza w badaniach nad sztuką”.

Rewolucyjny charakter też znajdujemy z kolei w „The Subjects of Art History” (1998), gdzie historyczka sztuki Patricia Mathews jako jeden z trzech zasadniczych celów współczesnej, feministycznej historii sztuki wyznacza wprost krytykę i dekonstrukcję dotychczasowych autorytetów, instytucji i ideologii.

TEMATYKA DOMINUJĄCA

Promocję ideologii LGBT znajdziemy we wszystkich dziedzinach sztuki, teatrze, filmie, galeriach, książkach etc. Wymienianie ich zajęłoby wiele stron. Musimy mieć świadomość, że jest to obecnie tematyka dominująca i wszechobecna w większości instytucji kultury. Szczególnie widoczna w teatrze i galeriach sztuki współczesnej.

Niedawno – 13 maja – w Teatrze Współczesnym w Szczecinie odbyła się prapremiera spektaklu „Spartakus. Miłość w czasach zarazy” w reżyserii Jakuba Skrzywanka. Przedstawienie opowiada o sytuacji polskiej psychiatrii dziecięcej i porusza temat prawa osób LGBTQ+ do wolności i samostanowienia. Twórcy spektaklu zdradzają, że w ostatniej części spektaklu zaproszone pary LGBTQ+ biorą udział w inscenizowanych ceremoniach ślubnych, które będąc niezgodne z obowiązującymi przepisami Rzeczypospolitej Polskiej, nie mają żadnych realnych konsekwencji prawnych. „Ceremonia ślubna jedнопłciowej pary staje się afirmatywnym wyrazem prawa każdego człowieka do miłości” – mówił autor scenografii Daniel Rycharski.

Na przełomie kwietnia i maja odbył się, jak co roku od ponad dekady, LGBT+ Film Festival, reklamujący się jako największe w Europie Środkowo-Wschodniej święto

■ kina LGBT+. W tym roku odwiedził kilka głównych miast Polski.

KLASYKA Z LGBT

Współczesne realizacje klasycznego repertuaru także są obszarem promowania ideologii LGBT. Teatr Polski w Poznaniu, wystawiając w 2019 r. „Śluby panieńskie” Aleksandra Fredry, deklarował, że poznańska inscenizacja jest „próbą uruchomienia innej narracji niż maskulinistyczna czy też patriarchalna w dialogu między mężczyznami a dyskursem feministycznym. Stawia pytanie o tożsamość męskości, w całej swojej rozciągłości obejmując obszary zarówno hetero-, jak i nieheteronormatywne”.

Profesor UAM Juliusz Tyszką pisał w recenzji „Nieheteronormatywne zgenderowanie”: „Sedno i główne przesłanie tej inscenizacji dostrzegam jednak gdzie indziej: gierki z tekstem Fredry są tu li tylko »grą wstępną«, służącą przewrotniej demonstracji genderowego przemieszania społecznych ról oraz wizerunków kobiety i mężczyzny, natomiast doczepiony do »Ślubów panieńskich« wątek platońskiego obojactwa i (niewypowiedzianego ze sceny, lecz obecnego u Platona) zrównania miłości hetero i homo, dopełniony, wzmocniony i ukonkretniony długą sceną miłosną w wykonaniu dwóch nagich mężczyzn, to już coś znacznie poważniejszego. Odważną i konsekwentną realizację tego właśnie wątku odbieram jako teatralny manifest środowisk LGBT”.

Sięgając do starszych przedstawień, warto zwrócić uwagę na teatr Polonia Krystyny Jandy. W 2016 r. w Polsce wystawiono spektakl „Matki i synowie”. Po światowej premierze w Pensylwanii parę lat wcześniej główny recenzent „The New York Times” napisał o tym spektaklu: „To ważny głos w debacie o tolerancji i akceptacji osób homoseksualnych w Stanach Zjednoczonych”.

Na stronie internetowej teatru Polonia czytamy, że wątki LGBT regularnie goszczą w teatrze Krystyny Jandy. W 2006 r. Janda gościła spektakl Macieja Kowalewskiego „Miss HIV”, monodram Ewy Kasprzyk „Pathy Diphusa”, sama wystawiła odważny „Darkroom” Jurany Jeger. Z kolei Maria Seweryn w 2013 r. na kameralnej scenie w Och-Teatrze pokazała sztukę „Alicja + Alicja” o miłości dwóch lesbijek.

Spektakl „Matki i synowie” to opowieść o matce, której syn był gejem i umarł na AIDS. Sercem spektaklu jest konflikt między matką a dawnym partnerem syna, jego nowym towarzyszem i wychowywa-

ny przez nich dzieckiem. Postać matki wykreowana na scenie przez Jandę, jak czytamy na stronie teatru, „obnaża polską nietolerancję, niewiedzę, nienawiść do odmiennych orientacji seksualnych. [...] to kij w polskie mrowisko. Społeczeństwo niezwykle nietolerancyjne i homofobiczne. To także lustro, w którym przegląda się dzisiejsza Polska – kraj zmierzający do izolacji, narzucający swoim obywatelom zasady moralne i religijne. W którym nie ma zgody in vitro jest grzechem, a homoseksualizm dewiacją i zboczeniem. »Matki i synowie« w reżyserii Krystyny Jandy to słuszna kontynuacja linii programowej jej fundacji...”.

W Galerii Labirynt w Warszawie, na przełomie lat 2020 i 2021, miała miejsce wystawa Maurycego Gomulickiego i Karola Radziszewskiego „Ménage à Deux”, o której w euforyczny sposób pisał w recenzji „Sztuka erotyczna na mroczne czasy, czyli tylko seks nas uratuje” prof. UAM Paweł Leszkowicz: „»Ménage à Deux«, stworzona z perspektywy wyzwolonej wieloseksualnej męskości jako jedno polimorficzne jądro, jest znakomitym przykładem terapii poprzez sztukę, terapii erotycznej i politycznej. Dlatego wystawa powinna być zapakowana i sformatowana jako produkt eksportowy i pojechać z Lublina do wszystkich galerii w Polsce, w większych i mniejszych miastach, ponieważ w istocie ten kraj niczego nie potrzebuje bardziej niż takiej kultury rozkoszy [...]. Prostota koncepcji polega na tym, że jest to wystawa kobiecych i męskich portretów, aktów i fetyszy, kreowanych z pozycji heteroseksualnego i homoseksualnego erotycznego spojrzenia. Te dwie perspektywy są ze sobą zestawione, zrównoważone i zespolone. [...] W ekspresji swego pożądanego artyści są bezwstydnie ekshibicjonistyczni i właśnie na tym polega ich siła. Otwarcie tworzą sztukę, która ich podnieca i tak też może działać na odbiorcę. Jest to analiza erotyki gejowskiej i heteroseksualnej, ale podana w atrakcyjnym opakowaniu, tak aby wciąż działała, przede wszystkim na zmysłowym poziomie”.

Jak to zazwyczaj bywa w recenzji nie mogło zabraknąć także odezwo politycznych rodem niczym z „Trybuny Ludu”: „Galeria Labirynt od lat bohatersko i konsekwentnie realizuje program antyrządowy, przeciwny ideologii PiS-u, szczególnie wbrew jego upiornej polityce obyczajowej. To dzięki takim instytucjom kultury wciąż jeszcze możemy mieć złudzenie, że żyjemy w wolnym kraju”.

Wyraźnie podekscytowany Leszkowicz, dodajmy – doktor habilitowany, profesor UAM. Kierownik Pracowni Sztuki Nowoczesnej i Współczesnej w Zakładzie Historii Sztuki Nowoczesnej Instytutu Historii Sztuki UAM pisze dalej: „Karol Radziszewski próbuje jednak w swoich monumentalnych rysunkach akrylem na papierze wkraczać w modne obszary transgender, aby usilnie udowodnić, że jest artystą queerowym, a nie gejskim. Nie są to jednak próby udane, na jego rysunkach widać wciąż męskolarnych mężczyzn, ale bez genitaliów, tylko z kobiecym owłosieniem łonowym lub z penisem i z kobiecymi piersiami. Są to wciąż rysunki męskiego ciała, twarzy i muskulatury, z dość obscenicznym ukłonem w stronę trans- lub interseksualności. Artysta nie umie przedstawić kobiecego ciała lub przekonującej kobiecości, ale nie jest to zarzut, Michał Anioł też nie umiał. Karol Radziszewski jest wystarczająco dobrym i autentycznym artystą w swojej dziedzinie aktu i portretu męskiego. Jego soczysty pokaz slajdów „Bike Boy” (2020) to absolutne erotyczne mistrzostwo, seks wyciekający z wizerunku. [...] jest on jednym z najważniejszych artystów, który konsekwentnie przez zwycięża to tabu, przyzwyczajając nas w polskiej sztuce do męskich genitaliów i ich piękna”.

W 2020 r. odbyła się też wystawa Karola Radziszewskiego w jednej z najważniejszych instytucji sztuki współczesnej, jaką jest CSW Zamek Ujazdowski. „Potęga sekretów – jak możemy przeczytać w recenzji Jakuba Gawkowskiego – porusza ważne wątki pamięci i kultury nieheteronormatywnej, o które trudno w państwowych instytucjach czy systematycznie zalewanej przez homofobiczne bagno polskiej przestrzeni publicznej”. Na wystawie mogliśmy oglądać też rangi eksponaty jak homoseksualna prasa erotyczna, umieszczona w szklanych gablotach bielizna osobista (stringi) homoseksualistów czy ułożone kolumnowo kasety VHS z pornografią gejowską z lat 90. Z kolei w 2021 r. Karol Radziszewski pokazywał w BWA we Wrocławiu seksownych bolszewików na wystawie „Mon chéri Soviétique”.

To tylko kilka przykładów ideologii LGBT w kulturze i sztuce. Ideologii, która firmuje się hasłami walki o wolność, równość i braterstwo, przemilczając, podobnie jak apologeci rewolucji francuskiej, jej pełne hasło: „... albo śmierć”.

Tęcza nie obraża?



Od jakiegoś czasu obserwujemy w świecie zjawisko przejmowania symboli, zwłaszcza tych, które przetrwały próbę czasu i wydają się trudne do strącenia z piedestału. Nie da się ich po prostu pomijać czy marginalizować, nie mówić o nich, bo z czasem i tak się przebijają jak roślina przez asfalt, a chęć wymazywania ich z ksiąg potęguje rezultaty odwrotne do zamierzonych. Można wówczas pójść za radą „starego diabła” Krętacza ze słynnej książki C.S. Lewisa, który radził młodemu kuscielowi, aby wymyślił słowo „obskurantyzm” i w ten sposób etykietował wszystko, co wartościowe. Gdy jednak i to nie da rady, gdy poziom ośmieszania nie przyniesie skutku, wówczas trzeba przejść symbol i nadać mu nowe znaczenie.

Choć Lewis myślał o kulturze średnio-wiecznej, którą udało się oświeceniowym filozofom odsądzić od czci i wiary, to jak ułał pasuje ta strategia do wielu dziedzin życia społecznego, które z racji zakorzenienia w wartościach są nagle określane jako obskurantkie czy zacofane. Nie



ks. Piotr Roszak

Gdy umieszcza się tęczę LGBT w kontekście dla kogoś cennym, np. w dłoniach Chrystusa, to jest to obrażanie wierzących

ulega wątpliwości, że podobny proces zachodzi na naszych oczach, gdy obiektywnie przeanalizujemy sposób promocji symboliki ideologii LGBT w przestrzeni publicznej, zwłaszcza tęcej flagi. Z racji stawianych haseł, wzywających de facto do resetu cywilizacyjnego, pojawianie się jej w wielu miejscach i na rozmaitych nośnikach, często bardzo zaskakujących przechodniów, jak np. na budynkach teatrów, pomnikach czy na materiałowych torbach lub w formie gadżetów, nie jest wyrazem spontanicznej akcji, ale owej strategii przejmowania i przełamania kolejnych punktów oporu. W obliczu krytyki, z jaką taka działalność nastawiana na kolonizowanie, jak ją określił papież

Franciszek, a nie na przekonywanie racjami, spotyka się ze strony wielu środowisk, zaskakuje sposób repliki zwolenników tej ideologii, którzy często odwołują się do biblijnej tęczy (chcąc powiedzieć, że to ta sama) i formułują oskarżenie, że chrześcijaństwo ukradli piękny symbol, nadając mu swoje znaczenie.

DZIWNĄ WOJNĄ

Chaos znaczeniowy, o który chodzi w tych zmaganiach o symbole, ma tę dobrą stronę, że pozwala przypomnieć sens podstawowy i pokazać, na czym polega dekonstrukcja. Choć w zamiarach inicjatorów chodzi o spowodowanie takiego zamieszania, aby druga strona bała się

■ sięgnąć po swój symbol, który został przejęty, to jednak przypomnienie historii i znaczeń przynosi upragniony porządek. Biblijna tęcza jest symbolem porządku, jaki został wprowadzony po potopie, po doświadczeniu ogromnego zła spowodowanego przez człowieka, i jest znakiem przymierza Boga z ludzkością, innymi słowy: zapewnieniem, że rozpoznanie Boga w świecie jest gwarancją postępu (Rdz 9, 14–15) i że Ten nie zniszczy więcej ziemi z powodu nieprawości ludzi. Tęcza stała się w języku biblijnym znakiem życzliwości Boga dla ludzkości, przez co ten symbol przypominał o istnieniu prawd podwalin, które gwarantują, że buduje się dom na solidnym fundamencie, na skale, a nie na piasku. Nie na wzór wieży Babel, absurdalnego wysiłku stawiania na swoim wbrew innym, pogoni za oryginalnością za wszelką cenę, lecz na wzór kogoś, kto – znając północ – jest w stanie poznać kolejne kierunki i nie zgubi się dzięki temu w nowych okolicznościach. Ta biblijna tęcza, znak przymierza z Bogiem, oznacza wierność wartościom, które są w stanie odbudować to, co potop zniszczył. To nie jest zgoda na to, że można robić, co się chce, a Bóg nie będzie się wtrącał, ale zapowiedź zmiany sposobu reagowania na zło, które – jak wiemy – znajdzie swe wypełnienie w przyjściu Syna na ziemię. Zło zwycięża się większym dobrem.

Jak to pasuje do postulatów formułowanych przez ideologię LGBT? Rozdźwięk między tym, co oznacza biblijna tęcza, a tym, co wyraża ta wznoszona na „paradach dumy” organizowanych przez te środowiska, jest ogromny i trudny do pogodzenia. Za próbą pokazania, że to jednak „to samo”, stoi coś więcej niż prosta konstatacja o kompatybilności znaczeniowej, a mianowicie specyficzny rodzaj walki z biblijnym znaczeniem, którego nie udało się zneutralizować.

Przejęcie symbolu tęczy i nadanie mu nowego znaczenia są więc od początku wpisane w apropriacjonizm, który w obliczu niemożności pokonania przeciwnego myślenia na argumenty podejmuje próbę podrobienia, parodiowania dobra. Nic nowego w języku biblijnym, który szatana ukazuje przez pryzmat kogoś nieustannie „podrabiającego” Boga, przeinaczającego Go i starającego się zająć Jego miejsce wobec ludzi. Odróżnianie podróbek i oryginału to dziś, jak się okazuje, nie tylko wysiłek z supermarketu, gdzie produkty różnią się jedną literką lub trudnymi do zaobserwowania przy pierwszym spojrzeniu zna-

kami graficznymi. Przeszło to na poziom kulturowy, który dotknął biblijnego znaku.

Paul Ricoeur podkreślał, że „symbol daje do myślenia”, co oznacza, że jest pierwotny wobec niego i nie poddaje się dowolnej manipulacji. Każda próba jego podporządkowania myśli, polityce, ideologii jest jakimś fałszerstwem wobec samego symbolu. Jest taki nie dlatego, że nie zawiera sensu, odwrotnie – jest nim przepełniony, lecz do jego odczytania nie wystarczy świat myśli i idei. Daje on do myślenia, wyrastając z tradycji i będąc rezultatem ludzkich dziejów. Dlatego wymaga mądrości interpretacji, a nie swawoli ideologii.

CORAZ SZERSZA TĘCZA

W przypadku ruchu LGBT oficjalnie pisana historia wspomina, że flaga istnieje od ponad 40 lat, choć rzadko się wspomina, że pierwotnie wymyślona przez Gilberta Bakera, który choć sam przyznawał się do homoseksualizmu, to nie nadał jej obecnego znaczenia, ale ogólne przesłanie dotyczące jedności wszystkich ludzi.

W ciągu tych kilku dziesięcioleci flaga ruchu LGBT – od czasu, gdy pojawiła się po raz pierwszy w 1978 r. w San Francisco na zlecenie Harveya Milka – przechodziła wiele modyfikacji. Zaczęto się od ośmiu barw, ale potem zostały wyeliminowane dwa kolory, jak przekazują źródła, ze względów technicznych. To jednak nie koniec kreacji flag – poszczególne grupy w ramach środowiska LGBT zaczęły tworzyć własne flagi, tak było w przypadku osób biseksualnych, aseksualnych, interseksualnych czy osób transseksualnych. Ci ostatni mają własną flagę od 2000 r., kiedy to po raz pierwszy została ona pokazana w Phoenix. Rozdrabnianie się jednej flagi na kolejne to być może zapowiedź, że tęcze zmiany będą nieraz zaskakiwać i że to nie jest ostatnie słowo. Wydaje się to wskazywać na to, że jednak trudno znaleźć jedną flagę dla wszystkich, którzy rzekomo pod tym symbolem mieliby się gromadzić. Chesterton miał rację, że wyprostowanym można być jedynie w jednej postawie (nazywał je zgodnie z etymologią – ortodoksją, prawością nauki, co jest aluzją do stania w pionie), podczas gdy wszystko inne będzie odchyleniem od tego.

Warto zauważyć w wypowiedziach zwolenników ideologii LGBT, że powstanie flagi to sposób na uczynienie się widzialnymi w społeczeństwie – nie dlatego, że tych osób nie było wcześniej, ale że się nie mówiło o ich obecności. A zatem nie cho-

dzi jedynie o pokazanie, że są takie osoby, ale o wymuszenie zgody na traktowanie ich zachowań na równi z innymi. Co daje ujawnienie własnych preferencji seksualnych poprzez tęczową flagę? Nie ma ona znaczenia dla praw członka narodu, który je ma nie z powodu swoich zachowań seksualnych, lecz z racji bycia obywatelem państwa, natomiast ujawnianie owych zachowań ma sprawić, że pojawi się więcej przywilejów dla danej grupy. Zatem tęcza flaga łączy tylko podobnych, wyklucza zaś innych i ich środowiska. W tym sensie jest to inny symbol niż np. flaga narodowa, która łączy wszystkich obywateli danego państwa, niezależnie od opcji politycznych, pochodzenia czy religii. Wywieszanie tej różnobarwnej flagi jest więc formą wywierania nacisku, aby zdobyć przywileje, torowania drogi do akceptacji i wymuszania jej medialną siłą. To rodzi dysproporcję widoczną dla każdego, bo np. tego samego rodzaju ataki na osoby wierzące za to, że są chrześcijanami, uznaje się za usprawiedliwione: akty wandalizmu wobec świątyń czy przedmiotów kultu mają zgodnie z tymi założeniami nawet nie budzić oburzenia, nie być relacjonowane w mediach, ale krytyka flagi LGBT, jej niewywieszanie – zgodne zresztą z literą prawa – jest już czymś ponoć oburzącym. Może więc chodzi o wyizolowanie seksualności od jej kontekstu? O promocję antywartości i próby podprogowej zmiany, niewyczuwalnej dla „radarów kulturowych” – polegającą mniej więcej na tym: zmienię ci koncepcję rodziny, a jak będziesz się buntował, to jeszcze zostaniesz oskarżony, że jesteś agresywny. Mówi się o szacunku do osób LGBT, a nie ma się szacunku do osób religijnych, które definiują w klasyczny sposób rodzinę i nie zgadzają się na błogosławienie w ich mniemaniu sytuacji grzesznej, niezgodnej z prawem objawionym. Dlatego zanim chrześcijanin podniesie tę flagę, musi zadać sobie wiele pytań dotyczących celów ideologicznych symbolizowanych przez sześciokolorową tęczę.

CZY SYMBOL MOŻE OBRAŻAĆ?

W kontekście tęczowej flagi słyszy się także zarzut, że jako taka nie może ona obrażać. Posługując się pewną – niezwykle aktualną skądinąd – analogią, trudno powiedzieć, że litera „Z” obraża, ale w kontekście postulatów i idei, jakie zostały jej przypisane przez agresorów atakujących Ukrainę, nie jest już zwykłą literą alfabetu, lecz swoistym manifestem. Kiedyś pisano

owe manifesty w postaci długich tekstów – te można było analizować, krytykować, podważać. Dziś inaczej. Nikt z literą „Z” nie toczy sporów, bo symbol graficzny zdaje się w pewien sposób osłabiać możliwości atak argumentami. Symbol wszak „daje do myślenia” wraz z przedrozumieniem i nie można udawać, że tego nie ma.

Przyznam, że przed kilkunastu laty byłem bardzo zaskoczony widokiem tęczy w flagach na budynkach państwowych, akademickich i kulturalnych w Wiedniu. Jeszcze bardziej, gdy niektóre polskie instytucje kultury wywiesiły je w czasie próby zablokowania orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego dotyczącego prawa do życia wszystkich obywateli RP. Wywieszenie tęczy w flagi nie jest jednak aktem solidarności, ale staniem po stronie pewnego przewrotu ideologicznego, który nie pyta o prawdę, ale realizuje wytyczne, wcieliła w życie pewien program – trudno to zaś zrozumieć w kontekście instytucji, które stoją na straży wolności myśli, mają dawać do myślenia, a nie myśleć za kogoś!

Czy zatem symbol jako taki może jednak obrażać? Oczywiście sam zestaw barw nie jest obraźliwy. Lecz „tęcza” środowiska LGBT nie jest tylko takim zestawem kolorów. Symbol ten „obraża” w znaczeniu kolonizacji ideologicznej, podobnie jak swastyka czy sierp i młot. Bo przecież to nie są zwykłe znaki zawodów, hutnika czy zniwiarza, ale to symbole pokazujące kierunek zmian, który chce się osiągnąć. Mówią one człowiekowi: chcemy z tobą zrobić to i to. W tym sensie nasz zmysł piękna obraża brzydota, a nasz zmysł moralny obraża zło, a zmysł intelektualny – wciskane brednie. Z tej perspektywy łatwiej zrozumieć, że gdy umieszczają się tęczę LGBT w kontekście dla kogoś cennym, np. przez włożenie tej flagi w rękę Chrystusa, to jest to obrażanie wierzących, którym sugeruje się w ten sposób, jakoby nie znali własnych zasad moralnych.

Nie ulega dla chrześcijan wątpliwości, że każdy człowiek jest adresatem orędzia zbawienia, że za każdego umarł Chrystus. To dość jasno wyrażał św. Paweł w swoich listach. Dlatego każda osoba ludzka jako obraz Boży, bez względu na swoje grzechy, na swoje wybory, także te seksualne, nie przestaje być cenna w oczach Boga. Problemem nie jest bycie osobą o takich skłonnościach, ale budowanie „masy krytycznej”, która ma prowadzić do zmiany, i przekształcanie świata i kultury w kierunku dominacji tej ideologii. Temu służą wirtualne wpisywanie tęczy w pomniki

czy symbole religijne, wyświetlanie tej flagi na stadionach, co wzbudza skrajne reakcje, choć już w Chicago nie pozwolono w tzw. marszu dumy z bycia LGBT wziąć udziału trzem osobom trzymającym flagi tęcze z gwiazdą Dawida.

WAŻNIEJSZA OD KRZYŻA?

Wywieszanie symboli religijnych w miejscach publicznych jest paradoksalnie piętnowane jako ideologizacja, choć krzyż jest przecież symbolem uniwersalnych wartości, bez względu na pochodzenie, skłonności seksualne czy wyznanie. Ciekawe, czy obrońcy praw człowieka nie wahałoby się wziąć krzyż w rękę i wyjść na ulicę z tym symbolem, który sprawił, że nie ma już niewolnika ani wolnego, żyda ani poganina, kobiety ani mężczyzny, lecz wszyscy są jednością w Chrystusie (por. Ga 3, 28). Natomiast manifestowanie symbolu ideologii LGBT na rzecz nie tyle niedyskryminacji, z czym każdy się zgodzi (bo cywilizacja chrześcijańska, na której oparty jest porządek polityczny krajów Zachodu, operuje pojęciem godności każdej osoby ludzkiej: nie dlatego, że jest heteroseksualna czy inna, ale że jest osobą, członkiem wspólnoty narodowej etc.), ile preferowania i wymuszania akceptacji, jest dla wielu przejawem wolności. Dziwnie nie prowadzi się dyskusji, a na podnoszone zarzuty i argumenty odpowiada się inwektywami, krzykami.

Jaki sens ma to wymuszanie akceptacji? Wydaje mi się, że chodzi o sprawdzenie, dokąd można się posunąć. Tak chyba należałoby ocenić próby siłowego – niestety także w sensie fizycznym – wpisywania flagi LGBT w wizerunki religijne, krzyże, kościoły.

JAK REAGOWAĆ?

Jak powinien zareagować człowiek, który czuje się zgorzchniony symbolem LGBT? Czy w ogóle jakkolwiek reakcja jest jeszcze możliwa? Wydaje się, że mamy do czynienia z klasycznym zjawiskiem tzw. zacieśnienia pola, ograniczania obszaru, aby było coraz trudniej reagować. Używając języka sportowego, przypomina to trochę grę w „spalonego”, zawężania pola gry, aby złapać przeciwnika na przekroczeniu linii. Co wówczas robić?

W takich sytuacjach Karol Wojtyła w „Osobie i czynie” sugerował prosty, ale skuteczny znak „sprzeciwu”, który określał jako jedną z form uczestnictwa w życiu wspólnoty. Potwierdza to historia, gdy sprzeciw jawnie wyrażany sprawiał, że

pewne rewolucyjne pomysły nie przechodziły dalej, gdyż znajdowali się odważni, aby się sprzeciwić, nie tylko emocjonalnie, lecz także intelektualnie. Dlatego skuteczną reakcją może być wymagająca droga budowania argumentacji, znajdowania racji, bo każda ideologia boi się wielości punktów widzenia, gdyż ona ma tylko jedną opcję. Właściwą reakcją nie jest więc uczuciowe nakręcanie się, ale potraktowanie tej sytuacji jako szansy na opowiadanie o prawdzie, na modlitwę o namiętanie i mądrość (o to generalnie należy się modlić dla swoich przeciwników, bo nie zaszkodzi nam nigdy ich mądrość, a co najwyżej ich głupota). Ale to także wezwanie do egzekwowania przysługujących praw do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami, co realizować się może przez większe zaangażowanie w realizowany proces wychowawczy w przedszkolu i szkole, reakcje w mediach społecznościowych.

Dobrą reakcją będzie też zgłaszanie naruszeń, np. do Laboratorium Wolności Religijnej (www.laboratoriumwolnoscipol.pl), ale nie obrażanie siebie nawzajem. Szacunek dla godności każdego człowieka jest kluczowy, to punkt wyjścia do budowania czegoś więcej. Tego nie można zniszczyć, lecz wręcz przeciwnie – trzeba ocalić. Jedyną receptą jest szukanie prawdy: „Nie możemy uczynić niczego przeciw prawdzie, ale dla prawdy” (2 Kor 13, 8).

A że reakcje przynoszą skutek, widać na przykładzie skutecznego działania stowarzyszenia adwokatów chrześcijańskich w Hiszpanii: Abogados Christianos w 2021 r. wygrali przed sądami hiszpańskimi, aby zakazać wywieszania flagi LGBT w urzędach i instytucjach, które – ulegając presji społecznej – wywieszały w czerwcu tęcze w flagi. Podobna zdecydowana reakcja zmusiła np. Gwardię Cywilną, aby ta organizacja strzegąca porządku publicznego wycofała tęczę w flagę ze swego profilu na Twitterze (w 2020 r.). Ten właśnie sprzeciw i reagowanie aktywowały dyskusję nad sensem zawieszania tęczy w flagach w miejscach publicznych, które uzmysłowiły wielu osobom, co tak naprawdę to za sobą pociąga. Im więcej tej dyskusji, tym lepiej, ale jak widać, niestety nie wszystkim na tej dyskusji zależy.

Jest jeszcze jedna reakcja, brzmi ona tak: dosypywać więcej dobra. Krzykliwość LGBT czasem wymaga ciszy i właśnie takiego dosypania dobra do świata.